



NIE WCHODŹ ŁAGODNIE W TĘ DOBRĄ NOC
BUNTUJ SIĘ, BUNTUJ, GDY ŚWIATŁO NIKNIE W MROK

*into
that
good
night*

L A U R A S A V A E S

L A U R A S A V A E S

into
that
good
night



Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczynie: Maria Mazurowska

Redakcja: Ewa Kosiba, Aleksandra Szpak

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Adelina Sandecka

Ilustracja na okładce: © Laura H. Rubin

Wyklejka: © Lalada / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2025 by Laura Savaes

Copyright © 2025, Papierowe Serca an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2025
ISBN 978-83-8371-940-5

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



*Dla moich rodziców.
Kiedy się gubię, to Wy mnie znajdujecie.*

Ostrzeżenie od autorki:

Ta książka zawiera treści, które mogą okazać się trudne i wywołać silne emocje u osoby czytającej.

Pojawiają się w niej wątki dotyczące: żałoby po stracie, traumy, uzależnień, destrukcyjnych relacji, depresji, choroby, uszkodzeń ciała, samobójstwa, ryzykownych zachowań seksualnych, molestowania, mobbingu, śmierci i poczucia winy.

Choć historia opowiada o leczeniu, miłości i odzyskiwaniu siebie, nie unika bólu. Czytaj odpowiedzialnie. Twoje bezpieczeństwo emocjonalne jest najważniejsze.

NIE ŻYJE. – Usłyszałam własne słowa wypowiedziane do pielęgniarki oddziałowej. – Czas zgonu dwudziesta trzyznaście.

Wraz z nimi coś w środku mnie uderzyło. Zacisnęłam powieki i przez moment było głucho. Ta informacja bolała bardziej, niż powinna, choć od początku wiedziałam, że rokowania są średnie. Że mój emerytowany pacjent zaniedbał zapalenie płuc, a jego siostra zadzwoniła po karetkę zbyt późno. Miał na imię George. I zmarł godzinę temu. Dziś więc nie był dobry dzień.

Prawdę mówiąc, nieczęsto miewałam dobre dni. Oczywiście było wiele takich, kiedy udało nam się uratować kilka żyć czy wypisać do domu pacjentów, którzy wjeżdżając na oddział, mieli niewielkie szanse. Te były dobre. Ale ja sama rzadko robiłam cokolwiek, co groziło bezpośrednim przysporzeniem radości. Praca, przemierzanie drogi z domu do szpitala i z powrotem oraz spanie – tak wyglądało moje życie. I wcale nie chciałam innego. Dziś właśnie to mi odpowiadało. Choć kiedyś było inaczej. Czasami późno w nocy przypominałam sobie, kim kiedyś byłam – jaka byłam – i nie potrafiłam uwierzyć wspomnieniom.

Jak daleko można odejść od samego siebie?

Zostałam na oddziale dłużej, niż powinnam. Chciałam osobiście przekazać siostrze zmarłego wieści i odpowiedzieć na jej

pytania, zamiast zrzucić ten ciężar na rezydenta z kolejnej zmiany. Bo to głównie ja doglądałam George'a, odkąd zjawił się w Lenox Hill. Czułam więc, że po ludzku należy mu się moja obecność. Dopiero po tym mogłam odetchnąć.

Oparłam się na krzesło w pokoju lekarskim i przeciągnęłam. Z ust wydostał mi się cichy wydech. Jedyne wyrażenie bezsilności, na jakie miałam siłę. Tony, mój kolega z rotacji internistycznej, przysypiał przy oknie skulony na dwuosobowej sofie, a ja nie miałam serca go budzić. Ten dzień to był kocioł dla wszystkich. Właśnie zamknęłam podwójną zmianę, ale on był dopiero w połowie swojej, choć, jak widać, chwilowo złożył broń. Po cichu zakończyłam wypełnianie wypisu w systemie i nawet nie przebrawszy się ze szpitalnych scrubsów, wyszłam z dyżurki. Zostawiłam Tony'ego w ciemności, na tym kanciastym meblu, który każdy z nas nieraz zaliczył, zamiast odpocząć w call-roomie do tego przeznaczonym.

Znowu przysnęłam w autobusie i prawie przegapiłam swój przystanek. W takich momentach nieludzkiego zmęczenia mieszającego się ze smutkiem pytałam siebie samą w myślach: po co mi to było?

Przecież mogłam pójść na łatwiznę, zrobić coś, co jest mniej wyczerpujące.

Ale potem przypominałam sobie, dlaczego to robię. I jak się czuję, kiedy realnie pomagam. Jak wszystko staje się lżejsze i nabiera dla mnie sensu tylko w tych krótkich chwilach, gdy efekty mojego wysiłku są namacalne i owocne. Nie tak jak dziś, nieistniejące.

Powoli dotarłam dwie przecznice dalej, do czerwonej kamienicy, w której mieszkam z Julianem i Sophie, moimi jedynymi przyjaciółmi. Znaleźliśmy się już w pierwszym miesiącu szkoły medycznej i od tamtej pory trzymaliśmy się nierozdzielnie razem. Choć każde z nas pracowało w innym szpitalu, tryb życia mieliśmy ten sam, dzięki czemu rozumieliśmy się bez słów. Tu, w Nowym Jorku, byliśmy dla siebie największym wsparciem. Jediną rodziną.

– Przetrwiałaś? – przywitała mnie Sophie z ciepłym uśmiechem, wychylając się z kuchni, kiedy otworzyłam drzwi do mieszkania.

Był dopiero koniec września, ale ta dziewczyna jak zawsze wyglądała niczym jesień we własnej osobie. Rude włosy, blada karnacja i delikatne piegi sprawiały, że gdy człowiek patrzył na tę uśmiechniętą twarz o pełnych ustach i zielonych oczach, miał ochotę biec do Starbucksa po duże pumpkin spice latte. A mnie ten widok kojarzył się z domem.

– Jeszcze nie wiem. Dopiero jak zamknę oczy, okaże się, czy dam radę je jeszcze kiedyś otworzyć. – Posłałam jej słaby, zmęczony uśmiech.

– Dlatego ja nie daję sobie wciskać podwójnych dyżurów jak ty i Jules. – Cmoknęła w powietrze i podeszła do mnie, by wręczyć mi kubek herbaty. – To barbarzyństwo.

– Sama rezydentura to barbarzyństwo. Tyle że ty nie masz kredytu studenckiego do spłacenia, Soph. – Odetchnęłam ciężko, wypuszczając z płuc całe zmęczenie dnia.

– Jako że wy go macie, ułatwiłam wam życie i przygarnęłam was pod swój dach. Tylko skromnie przypominam. – Wzruszyła ramionami, kręcąc swój rudy pukiel wokół palca.

– I będziemy za to wdzięczni na wieki. – Ucałowałam ją w policzek. – Julian ci za to oszałamiająco gotuje, a ja... ja wniosłam do tego układu kota, który robi dla nas za wsparcie moralne – odparłam z krzywym uśmiechem, kątem oka dostrzegając Daisy.

Ruda kotka stała w progu mojej sypialni i ocierała się o framugę. Znalazłam ją kiedyś na śmietniku, przyniosłam do mieszkania i tak po prostu została.

– Ta kotka wykończyła już jedno krzesło babci pazurami, ale wszystko jej wybaczę. Bo ona rozumie, wspiera i nie ocenia. Zna moje najbrzydlwsze sekrety. – Sophie ruszyła do kuchni. – Za to na dodatek do Juliana w postaci Eduarda się nie pisałam. – Palcem wskazała przymknięte drzwi sypialni znajdującej się zaraz obok mojej.

– Znowu toczycie wojnę? – zapytałam, dobrze wiedząc, jak intensywny potrafi być chłopak naszego współlokatora.

Mieszkając z Julianem Rosenbergiem, nie dało się odseparować od jego płomiennych związków. Ja i Soph przeżyłyśmy już dwa. Jak dotąd, to Eduardo był jednak tym najpoważniejszym. Niestety według mojej przyjaciółki przebojowy marketingowiec o długich ciemnych lokach i wyrzeźbionym ciele zbyt często wyjadał z lodówki nasze zapasy.

– Małą bitwę. Eduardo był przekonany, że Jules kończy zmianę dziś rano, i przyszedł tu z kawą, a ja musiałam go oświecić, że pomylił pory dnia. Nie dość, że obraził się za to na mnie, to jeszcze zjadł moje śniadanie, rozumiesz? – Rozłożyła ręce w geście bezradności i przeszła do kuchni, a ja podążyłam za nią. – On jest bezczelny...

– Ja cię słyszę, Sophie! – Z sypialni Juliana dobiegł nas stłumiony, poirytowany głos.

– To może coś z tym zrób! – odpaliła natychmiast.

– Bardzo żałuję, że nie mogę posędziować w tym sporze, ale zasypiam na stojąco – wyrzuciłam z siebie, ziewając, a moja torba opadła ciężko na podłogę. – Idę pod prysznic i zaraz potem do łóżka, bo nie wytrzymam. – Odstawiłam herbatę na blat w kuchni.

– Zmykaj. – Soph obdarzyła mnie ciepłym uśmiechem współczucia. – Będę zaraz piec babeczki. Zostawię ci. Może Eduardo nie zdąży wszystkich zjeść, jak przyjdzie.

– Ty jesteś po prostu wredna! – warknął Julian zza uchylonych drzwi. – On musi dużo jeść, bo ostro ćwiczy na siłce! Robi masę!

– W tym domu panuje równy podział! Jeśli Eduardo chce się objadać, to niech się dołoży! – prychnęła Sophie w eter.

– Jak ci zrobię frytki z batatów, to przestanieś go nękać? – odkrzyknął, a ja uśmiechnęłam się pod nosem.

Prysznic odrobinę mnie ożywił, ale ciężar dnia pozostał pod skórą i uciskał. Przetarłam lustro, które pokryła para, i spojrzałam

na siebie. Na moment zastygłam. Znowu byłam odrealniona. Wciąż myślałam o pacjencie, który dziś zmarł.

Może inny antybiotyk byłby lepszy? Albo dolożenie sterydu?

Przygryzłam wewnątrz policzka. Zapuszczałam się w otchłań bezsensownych domysłów o tym, co by było gdyby. Tam, gdzie każdy lekarz powinien mieć mentalnie ustawiony zakaz wjazdu. A szczególnie ja.

Nieobecny wzrok utkwiał w swoich niebieskich oczach okolonych jeszcze mokrymi rzęsami. Choć jak zwykle podkrążone, to i tak były wielkie. Jak u jelonka Bambi – tak mówiła kiedyś Ally, moja najlepsza przyjaciółka z dzieciństwa. Ale dziś brakowało w nich zapłonu. Iskry, która lata temu błyszczała ciekawskim entuzjazmem i przyciągała jak magnes. Skóra na moim ciele, kiedyś porcelanowo jasna, teraz była szarawa ze zmęczenia.

Brak snu robi z człowieka zombie.

Westchnęłam. Przynajmniej moje ciemne włosy były dalej w akceptowalnym stanie, ale i tak ścięłam je w połowie studiów do ramion. Szpital to nie konkurs piękności, a ja miałam dwadzieścia siedem lat, nie siedemnaście. Byłam poważną i skupioną kobietą. Nie szkolną gwiazdką. Już dawno nie czirliderką, nie dziewczyną kapitana drużyny futbolowej, która doczekałaby się ogromnego diamentu na palcu, potem zawodu „żona” i trójki idealnych dzieci. Dziś byłam poważną lekarką. Wielu powiedziałoby, że sztywną, niezdolną do zawierania nowych relacji, do luzu. Może wręcz maszyną oddaną wyłącznie swojej pracy.

Zaśmiałam się z goryczą. Aż zabołało mnie gardło.

Ta wersja jest odpowiednia.

Mimo wszystko trudno było mi pogodzić ten obrazek z tym, co było kiedyś. Choć teraz ledwo mogłam to sobie wyobrazić, dawno temu byłam inna. Byłam „tą popularną dziewczyną”, której nikt nie posądziłby o medycynę. Bez troską i szczęśliwą. Nie myślałam o przyszłości, miałam zupełnie inne marzenia, a w cieniu inne

problemy. Mój świat ograniczał się do szkoły, w której zgrana paczka znajomych dawała mi poczucie przynależności, cel i rozrywkę. Był to ten rodzaj ekipy, do której każdy licealista pragnie należeć. O której śni się po nocach i kombinuje, jak przeniknąć do jej szeregów, by ogrzać się w jej blasku. Ale niewielu udaje się ją w ogóle dotknąć, bo jest niedostępna, zapatrzona w siebie i zarezerwowana tylko dla wybranych. Dla mnie stanowiła jednak azyl, tak inny od mojego rodzinnego domu.

Do czasu.

Młodość ma to do siebie, że przemija, a wszystko, co ją tworzy, kończy się, nim się obejrzymy. Moja rozpadła się z dnia na dzień w niewyobrażalny sposób. Mimowolnie ją zniszczyłam. Między tamtą nastoletnią Lav a dzisiejszą świeżo upieczoną doktor Dawson istniała przepaść wielkości Rowu Mariańskiego. Ziejąca lodowatym widmem dawnych wydarzeń. Nieodwracalna, zamknięta, skażona.

Z zamyślenia wybiło mnie pukanie do drzwi.

– Lavie, muszę do łazienki – zajechał Julian po drugiej stronie drzwi.

– Już wychodzę. – Natychmiast odblokowałam zamek owinięta ręcznikiem.

Przeszłam do salonu urządzonego w klimacie serialu *Przyjaciele* jeszcze przez świętej pamięci babcię Sophie, Pearl. Ta starsza pani kochała całą naszą trójkę, a kiedy skończyliśmy szkołę, z dnia na dzień umarła, zostawiając wnuczce to mieszkanie. W liście, której Soph znalazła potem w jej sypialni, napisała: „Tak będzie Wam wygodniej”.

– Powinnyśmy iść na zakupy – mruknęła do mnie przyjaciółka, unosząc wzrok znad smartfona. Położyła go sobie na grzbiecie Daisya, która zapamiętała gniotła jej bluzę.

– Nie chcę wydawać kasy na rzeczy, które za pół roku będą nie modne, Soph – odparłam, przysiadając na podłokietniku obok niej.

– Ale zaraz kończą się wyprzedaże. – Uśmiechnęła się do mnie nęcąco.

– Zapomnij – zalamentowałam. – W tym miesiącu jestem niebezpiecznie blisko kreski.

– Czasem mam wrażenie, że trwonisz gdzieś całą swoją kasę i dla ciebie zostają tylko resztki – odparła poważniej, a ja odrobinę się najeżyłam.

Sophie wiedziała, ile mniej więcej zarabiam, bo każdy rezydent otrzymuje bardzo podobną stawkę. Orientowała się też, ile wydaję, a o tym, że prawie nie mam oszczędności, dowiedziała się przez przypadek. Nie była głupia i domyśliła się, że część moich pieniędzy gdzieś znika. Ale choć była z natury dociekliwa, nie wypytywała, a ja nie kwapiłam się do wyjaśnień. Bo to była zamknięta część mojej historii i należała tylko do mnie.

– Przyznaj się. Grasz w internetowych kasynach.

– Tak, i ciągle przegrywam w ruletkę – odparłam, przyklejając do ust lekki uśmiech, który nie krył zmęczenia. – Lecę spać. – Wyciągnęłam dłoń, by pogłaskać Daisy.

– A właśnie! – Usłyszałam za plecami, kiedy byłam już w połowie drogi do sypialni. – Zapomniałam ci powiedzieć, że przyszła dziś do ciebie jakaś poczta.

– Spojrzę na nią jutro – rzuciłam, ziewając.

– Chyba wolisz spojrzeć na nią teraz – odpowiedziała dziwnie, a ja zatrzymałam się w drzwiach.

– Dlaczego? – spytałam zaskoczona. – To pewnie znowu jakieś rachunki albo nowa karta kredytowa.

– Eee, nie. – Sophie nachyliła się nad minibarkiem i podniosła czarną kopertę. – To jakieś zaproszenie. I wygląda dość... niecodziennie. Zmarszczyłam brwi i cofnęłam się powoli do salonu.

– Pokaż – mruknęłam do niej zaniepokojona.

Podawała mi matową czarną kopertę, na której widniały białe drukowane literki.

„ZAPROSZENIE”.

Zdziwiłam się. Przecież nikt mnie nigdzie nie zapraszał. Poza Jen i innymi rezydentami szpitala Lenox Hill, którzy tak jak ja nie mieli za dużo czasu na rozrywkowe życie, nie miałam znajomych. Dla ludzi z młodości nie istniałam, a rodzice rzadko kiedy choćby do mnie dzwonili. Jedyne osoby, które mnie gdziekolwiek zapraszały, mieszkały ze mną i nie miały w zwyczaju wysyłania listów, jeśli chciały zjeść ze mną kolację. Spojrzałam więc na drugą stronę koperty.

„Lavender Dawson”. Adres się zgadzał.

– Nie, to nie pomyłka. Już sprawdziłam – powiedziała Sophie, jakby odpowiadała na moje niewypowiedziane pytanie. – Może to jakieś zaproszenie na ślub czy coś? Od kogoś z dawnych czasów? – dodała z kotem na rękach, a jej słowa momentalnie mnie usztywniły.

– Dobrze wiesz, że nie mam z nikim kontaktu – odparłam cicho, ale moje serce biło już za mocno. Bo nigdy nie wyjaśniłam ani jej, ani Julianowi, dlaczego tak jest.

– Może komuś to nie przeszkadza i wysłał list z grzeczności... Dobra, otwórz – ponagliła mnie wyraźnie zaintrygowana.

Wzięłam wdech i rozerwałam kopertę palcem. W środku była grubsza biała kartka złożona wpół.

Szanowna Panno Dawson,

mam przyjemność zaprosić Panią na zamknięte soirée

24 września o godzinie 20.00.

Midtown West, budynek SilverSky, 28. piętro, penthouse.

Z wyrazami szacunku

DA

– To jutro – wyszeptła mi nad ramieniem Sophie, a ja uniosłam wytrzeszczone oczy, by spojrzeć jej w twarz. – Ale kim jest, na Boga, DA?

– Nie mam zielonego pojęcia... – wymamrotałam, ponownie patrząc na tekst. – Ja... ja nie wiem, co to w ogóle jest. To musi być pomyłka, na pewno chodzi o jakąś inną Lavender Dawson. – Wbiłam w nią nerwowy wzrok.

– A ile znasz kobiet o imieniu Lavender? Twoja mama naprawdę miała fantazję, wybierając ci to imię – odpowiedziała Sophie, a ja milczałam. Czułam jedynie, że żołądek podchodzi mi do gardła. – To nie wygląda na pomyłkę. Nasz adres na kopercie się zgadza, twoje dane w treści też.

– Kuźwa, pokażcie mi to... – Usłyszałam za plecami szybkie kroki i zirytowany głos.

– Czy ty podsłuchujesz? – obruszyła się Soph, odwracając się w kierunku Juliana, który już stał za moim drugim ramieniem.

– Nie dramatyzuj, Karen, bo się zestarzejesz – prychnął, a ona szturchnęła go łokciem w bok. Wyjął list z mojej dłoni i zaczął mu się przyglądać, po czym odwrócił kartkę na drugą stronę i wymamrotał pod nosem: – To... nie wygląda jak syf. Dobry papier, czcionka też nie jest tandetna, podpisane piórem. Wydaje się legitne. – Wbił we mnie bystre zielone oczy.

– Naprawdę nie masz pomysłu, od kogo to może być? – zapytała mnie Sophie.

– Nie. Nawet cienia pojęcia – wyszeptłam przejęta. – Czy od kąd się znamy, widzieliście, żeby ktokolwiek spoza uczelni do mnie chociaż dzwonił? – zadałam im retoryczne pytanie.

– Nie. – Soph wzruszyła ramionami. – Ale to meganiegrzeczne nie podpisywać się całym imieniem i nazwiskiem... – burczała.

– Boże – pisnął nagle Julian, jakby go olśniło. – Słyszałem, że parę lat temu u nas, w Cedar's Sinai, jakaś lekarka leczyła niepozornego gościa, ale przeniesiono go do innej kliniki – zaczął głosem

pełnym ekscytacji. – Po roku, kiedy facet wyzdrowiał, wrócił do Sinai i powiedział, że się w niej zakochał. Okazał się obrzydliwie bogaty, oświadczył się jej i żyli razem długo i szczęśliwie! – Rozłożył ręce, robiąc krok do tyłu, a na jego zarumienionej chłopięcej twarzy zagościł szeroki uśmiech. – Znaczą żyją. Mam nadzieję.

– Ale... co to ma ze mną wspólnego? – Skrzywiłam się.

– Ano to, że jesteś śliczna, kochana i świetna z siebie lekarka – wyliczał stanowczo. – Pewnie jakiś milioner, którego leczyłaś, dostrzegł twoją determinację i buźkę. I teraz zaprasza cię na kolację, na której podziękuje ci za uratowanie życia i oznajmi, jak bardzo go oczarowałaś, nie rozumiesz? – dodał tak luźno, jakby to był jedyny logiczny scenariusz w tej sytuacji. Krótka piłka. Luz.

Owszem, zdarzali mi się pacjenci, którzy po zakończonym leczeniu proponowali kawę albo od razu kolację ze śniadaniem. Ale nie szukałam związku, a poza tym to było nieetyczne. Wolałam też nie ryzykować, odkąd Sophie się z jednym umówiła. Okazało się, że miał żonę, dwoje dzieci i trzecie w drodze. To była wystarczająca nauczka, by tego nie robić. Ale ona dalej wytrwale to praktykowała.

– Jezu. Jules, ty się chyba w głowę uderzyłeś. To historia z serialu, a nie ze szpitala Sinai – jęknęła Sophie, wskazując białą kartkę w jego dłoni. – To jest „legitnie” dziwne.

– Nie dowiesz się, o co chodzi, jeśli tam nie pójdziesz. – Julian zignorował jej słowa, zarzucając do tyłu swoim blond lokiem, który wpadał mu w oko.

– Nie no... ja nie mam zamiaru iść – oznajmiłam natychmiast.

– Żartujesz? To jest turboekscytujące! – parsknął Julian.

– Ja nie robię turboekscytujących rzeczy. – Pokręciłam głową, lekko się kuląc.

– A może powinnaś. Każdy czasem powinien zrobić coś szalonego. – Sophie chociaż w tym przyznała mu rację.

– Ty tylko pracujesz, kochanie. Masz koszmarne nudne życie i rozumiem, że jesteś introwertyczna, ale... Kiedy ostatnio byłaś

na przykład na imprezie? Albo na randce? – podbił jej myśl Julian, krzyżując ręce na mozolnie wyrzeźbionej klatce.

– Wiesz, że nie chodzę na randki. Poza tym byłam na jednej. Ze Spencerem... kiedyś – broniłam się, zatykając mokre pasmo włosów za ucho. Nie lubiłam tematu facetów i randek.

– Rok temu. Lav, narcystyczny lekarz prowadzący, który cię mobbinguje, bo tylko na taki podryw go stać, a potem strzela po nocach głuche telefony, to nie jest definicja randkowania. Ani dobrej zabawy. Ani... niczego w sumie. To strata czasu i odgrzewanie starego kotleta, który jest niesmaczny i do tego zakochany w sobie na zabój – podsumował stanowczo Julian.

– Ty nie masz uczuć, wiesz? – zarzuciła mu Sophie, która była zbyt wyrozumiała i kochana. – Nie musisz być tak bezpośredni. Spencer na pewno miał jakieś zalety, przez które Lav zgodziła się mu dać kiedyś szansę. Jeszcze zanim wybrał mobbing. – Zerknęła na mnie, oczekując potwierdzenia, ale sama nie potrafiłam go znaleźć w głowie. Bo byłam już zbyt zmęczona Spencerem i jego zachowaniem.

– Ludzie mnie za to kochają. W tym ty, i tylko udajesz zimną. – Wyszczerył się do niej głupawo Julian, a ona przewróciła oczami. – No chodź, już ci wybaczam obgadywanie mojego faceta i wrodzoną jędzowatość. – Wyciągnął do niej ramię, a drugim objął mnie.

Cała nasza trójka wraz z kotem spojrzała ponownie na kopertę, którą przejęłam od Juliana. To mi się nie podobało. W ogóle. I zaczynało mnie martwić.

– Nie mam pojęcia, co to, ale myślę, że jednak pomyłka – podsumowałam sytuację, czując, jak zalewa mnie kolejna fala zmęczenia. Było mimo wszystko silniejsze niż niepokój obudzony czarną kopertą. – Pójdę już spać. Umarł mi dziś pacjent.

Odeszłam, zostawiając ich z informacją, która sama wydostała się niepowstrzymana z moich ust, jakbym chciała oddać im chociaż część mojej melancholii, żeby mnie samej zrobiło się lżej.

Ale nie zasnęłam od razu. Bijące trochę zbyt szybko serce nie chciało zwolnić. Bo to zaproszenie za bardzo uwierało mój umysł, rodziło pytania. Rozbudziło coś, czego uśpienie zajęło mi lata. Co zostawiłam za sobą dekadę temu, gubiąc dech i kawałki siebie. Kiedyś lubiłam zaskoczenie i ekscytację. Uwielbiałam niespodzianki i nowości. Dziś nie. Dziś mój świat był przewidywalny, spokojny i poukładany, bo właśnie w takim czułam się bezpieczna. Aż nagle zatliło się we mnie to znajome podskórne przeczucie, że być może grzechy sobie o mnie przypomniły.

Bo grzechy chyba tak właśnie mają. One nie zapominają. Znajdą nas zawsze i wszędzie, nieważne, jak szybko i daleko będziemy uciekać.